

Mózg się cieszy

Dzięki temu zestawieniu sztuk i artystycznych rejestrów pojęcie plastyczności neuronów nabiera nowego sensu, a mózgi widzów się cieszą, wyrwane ze sztamperki teatralnej łódzkiej codzienności. W pierwszym dniu drugiego weekendu Festiwalu (o premierze podczas pierwszego weekendu można przeczytać TUTAJ) zestawiono portugalski spektakl „Home. 2.0.” Vortice Dance Company z wystawą Art Brut z Wrocławia.

Taneczne przedstawienie, wystawione na deskach sceny Art_Inkubatora, z założenia miało odsyłać do przestrzeni kosmicznej, w której rozgrywa się odwieczny ludzki taniec, zabawa w przyciąganie i odpychanie. I właśnie na poziomie przestrzeni coś nie do końca zagrało, czyniąc niektóre fragmenty prezentacji zabawnymi i ocierającymi się o kicz. Początek zakrawał na scenografię niczym w Star Trek. „Kosmiczne” puchate stroje tancerzy i monotonna, chłodna w tonacji grafika w tle nie chwytały za serce. Po „wylądowaniu” w kosmosie sytuacja poprawiła się, scena zaczęła się mienić kiczowatym złotem w sposób celowy i zamierzony, a pikanterii dodawały zmysłowe, czerwone elementy kostiumów. Nie mniej zmysłowy okazał się taniec, z kulminacyjną sceną stripteasu bez ukazywania golizny, za to trzymającą w dużym napięciu, odegraną ze scenicznym wyczuciem i nieprzyzwoitą dawką poczucia humoru. Zabawa w przyciąganie – odpychanie, szczególnie w wyizolowanych, kosmicznych warunkach to ciekawy obiekt do teatralnej wiwisekcji. Zbliżyć się do siebie nawzajem jest trudno, łatwiej każdej ludzkiej istocie udać się w miejsce odosobnienia i zapiąć się na zatrask, każdy w swoim osobistym foliowym woreczku. I tak wisieć, jak kawał mięsa w markecie (swoją drogą – świetny manewr scenograficzny). Spektakl istniejącej od dwóch dekad grupy, interesujący pod względem tanecznym i ludzkim, by mocniej oddziaływać na widzów, być może po prostu powinien być zagrany na scenie znajdującej się w większej odległości od widowni (jak twierdzą fachowcy od tańca), a może po prostu trudno jest opowiedzieć o sprawach najprostszych, o fundamentalnych wartościach, o nie zamykaniu się w sztucznym świecie tylko wychodzeniu do siebie nawzajem, bez otarcia się o kicz?

Dziki siostry

Po artystach portugalskich na widzów czekało zwieńczenie wieczoru – koncert „Pokój jej cieniem” zespołu „Trzy dni później” – trzy dziewczyny o anielskich głosach i ich nieziemskie, nie mieszczące się w zapisach nutowych aranżacje. W repertuarze znalazły się pieśni wyśpiewywane niegdyś przez dolnośląskie babcię członkini grupy, impresje związane z postacią Ester, słynnej mieszkanki Głogowa o żydowskim pochodzeniu – łagodne przejście przez kolejne żywioły: wodę, ogień, powietrze. Mocny klimat etniczno-ludowy, duch poezji śpiewanej jeszcze sprzed czasów banalizacji tego gatunku, i, oczywiście, altówka Pawła Odorowicza, bez której ten koncert nie byłby takim wydarzeniem. Stylizacja strojów i prezentacje multimedialne proste, dyskretne, ale bardzo przejmujące. Las, fale morza w tle przenosiły skupioną w szklanym „łączniku” widownię w niedookreśloną, pół dziką, siostrzaną rzeczywistość, pełną driad i demonów, urokliwą, ale niebanalną i niepokojącą. Jeśli wierzyć tworzącym trzon zespołu dwóm siostrzom, to śpiewały razem od zawsze, a ich aranżacje przełożone na muzyczne szkieleto i oko nie brzmiały i ginęły. Ja im wierzę całkowicie – i chcę więcej.

Mówić prawdziwie, do dna i bez cukru – to domena tego Festiwalu, podobnie jak wszelkie oglądane tu transgresje i przekroczenia. Pierwszego dnia widzimy w „foyer” wystawę Galerii i Pracowni Sztuki Art Brut we Wrocławiu – słodki różowy tort nie ze słodczyzki skonstruowany, zmasakrowany pluszowy misio, wymykające się gatunkowym podziałom teksty odręcznie spisywane na kartkach, zaklejone kolorowymi taśmami sprzęty codziennego użytku. Świetnym zabiegiem było

pozostawienie widza w tej materii „na lekkim głodzie” i dopełnienie tej wystawy Koncertem „Słowa” w drugim dniu Retroperspektyw oraz spotkaniem z artystami. Koncert Igora Gawlikowskiego oraz Art Brut, a właściwie nie koncert, tylko synteza sztuk – łącznie z fragmentami filmów, dały bardzo sugestywny obraz pracy Galerii. Miejsca, gdzie spotykają się osoby niepełnosprawne, by twórczo działać i myśleć, wyrażać siebie takimi, jacy są, a nie spełniać czyjeś odgórne oczekiwania wykładane w poczuciu wielkiej misji. Te „dzieciaki” – na przykład Wendi, czyli Wanda Sidorowicz – mają też potrzebę separacji od rodziców, i, o zgrozo, mają też potrzeby seksualne. I mogą tańczyć na rurze, zupełnie nie krępując się charakterystyczną dla osób z zespołem Downa fizycznością. Mogą też, jak Mateusz Tatarczyk, mieć potrzebę wypowiedziania się na tematy polityczne i kreowania własnej wizji społecznego porządku, w której policja nikogo nie prześladowuje, bo przecież „ludzie chcą, żeby był spokój, a nie zakłócać spokoju”.

Rój, honor i pszczelizna

Na Festiwalu organizowanym przez Choreę nie może zabraknąć premiery, przez ten teatr specjalnie przygotowanej. Tym razem metaforą do opowiedzenia o mechanizmach społecznych był rój. Prawdziwy, pszczeli i pachnący. Taki też tytuł otrzymał spektakl w reżyserii Janusza Adama Biedrzyckiego „Rój. Sekretne życie społeczne”. Tomasz Rodowicz, trochę grający samego siebie, podzielił się opowieścią sprzed lat o pracy przy ulach mitycznego Wuja, jak wspomina, pracy bardzo dla filozofa pouczającej. Ostatecznie pszczoły zostały porzucone dla teatru, ale... Obserwacja społecznych zachowań tajemniczych owadów, pogłębiona specjalistyczną lekturą, przyniosła ciekawy efekt przy próbie odwzorowania tychże na scenie i przełożenia na międzyludzkie stosunki społeczne. Słodkie pszczołki poddane są tresurze – by osiągnąć cel, czyli zapewnić produkcję miodu i trwałość roju, wszystkie trybiki muszą się poruszać w jednym rytmie. Każda musi mieć taki sam wymiar skrzydełek. Proces rugowania „innego/innej” uruchomić bardzo łatwo, a potem rozpędza się lawinowo. Co zabawne, najmocniej uruchamiają się ci, którzy własną inność próbują zakryć. Równie niepożądane jest wychylenie się w drugą stronę – obce w ulu ciało, w szczególności ze zmysłową talią i nazbyt ponętnie wyginające się, czyli osa po prostu, również naraża się na atak pszczoł. Matriarchat, podobnie jak patriarchat nie ma żadnej litości, jeżeli w cenie jest utrzymanie się przy władzy. System miłościwie panujący jest czymś w rodzaju teokracji. Królowa (świećna Dorota Porowska) a zarazem bogini oczekuje poddaństwa i czołobitności. Ale też ma coś do zaoferowania – to jej boski odwłok sprowadza nowe życie i zapewnia trwałość ula. „Rój, honor i pszczelizna”, hasło, które wywołało rozbawienie na widowni, spaja pszczelą społeczność na zabój, pozbawia refleksji nad sensem czy opłacalnością codziennego znoju. Robimy swoje – i już. A refleksje trutni w obciachowych beżowych wdziankach wywołać mogą co najwyżej pobłażliwy uśmiech – Jeśli praca, to tylko taka, w której się będę rozwijał. A może w ogóle nie ma sensu pracować ... – w zestawieniu z harówką pszczelich kobiet taka postawa ukazuje mężczyzn jako rozedrganych słabeuszy, którzy do niczego – poza jednym – się nie nadają. Dużo mówi prezentowana przez trutnie pozycja ciała – półleżąca i przysypiająca, podczas gdy pszczołki cały czas są rozwibrowane i w ruchu, a jak już nic nie mogą robić, to drepczą w miejscu.

Rozwibrowanie scenicznego ruchu (choreografia Magdaleny Paszkiewicz) podkreślają też kostiumy, skonstruowane m.in. z wciąż poruszających się paseczków tkaniny i rozbrajających bucików, które, jeśli wierzyć autorce kostiumów, Karolinie Burakowskiej, w dotyku przypominają najprawdziwsze pszczele futerko. Obserwując sceniczny ruch, szczególną uwagę warto zwrócić na to, jak grupa ten ruch inicjuje, jak impuls przeskakuje z jednej aktorki na drugą i zatacza koło – nawet jeśli ten ruch nie jest doskonały i technicznie czyściutki. Mocna piątka za zaangażowanie i pracę zespołową, warto też zwrócić uwagę jak „pszczołki” dyskretnie wspierają aktorkę z niepełnosprawnością wzrokową (pamiętaną ze spektaklu „Vidomi”), która ponownie świetnie sobie radzi na scenie, podobnie jak aktorka z zespołem Aspergera. Miałam przyjemność oglądać „Rój” siedząc obok autystycznego chłopca. Jego głośno zadawane pytania, początkowo zbijające z pantafelku, po chwili

stały się nierozzerwalnym elementem spektaklu, barometrem momentu, gdy Chorea w języku metafory posuwała się za daleko („Czy to jest ta sama pszczoła, co wtedy, czy inna?” – gdy aktorki, jak to w teatrze współczesnym bywa, zamieniały się rolami ze sceny na scenę), pojawiały się też pytania o elementarne wartości i motywacje postaci („Dlaczego ona to zrobiła?”, „Mamo, czy ona jest zła?”, „Czy one jej coś złego robią, czy jej się podoba to?”) oraz teatralną iluzję („Czy jak ona tam [za kulisy] idzie, to jest jeszcze tu, czy nie?”). Niewątpliwie był to widz refleksyjny, aktywny i bardzo starający się zrozumieć. I mimowolnie zmuszający innych widzów do zadania sobie kilku pytań więcej niż zwykle.

W programie można było przeczytać, że „Rój” to wydarzenie dla dzieci, ale reakcje młodej widowni wskazywały, że nie wszystko, na przykład aluzje polityczne, było dla niej czytelne, a może i nawet nie dla jej uszu przeznaczone. Aż do momentu kulminacyjnego, który z kolei raził dorosłych jak gromem. Ekologiczne przesłanie o roli pszczół w zapylaniu kwiatów, ich zagrożeniu wymarciem i konieczności dbania o środowisko w ogóle, podano tak łopatologicznie, że aż żelazo skrzypiało podczas wbijania w ziemię. Projekcja z wyświechtanym „po Internetach” obrazem morskich fal usłanych plastikiem, doprawiona pedagogiczną pogadanką – to świetnie sprawdziłoby się na godzinie wychowawczej, troszkę słabiej działa na scenie. Stanowiła jednak ciekawą klamrę na koniec przedstawienia: można mieć i teatr, i zadbać o pszczoły, szanując przesłanie przekazane przez Wuję.

Niech widz nie wzdycha

Ostatnim teatralnym trzęsieniem ziemi na Retroperspektywach była „Matka Makryna”, monodram Ireny Jun, według książki Jacka Dehnela. Ostatnim, ale zdecydowanie najsilniejszym. Początek spektaklu ujmuje sceniczną skromnością. Wąski pasek sceny między rzędami widzów, mało komfortowy dla aktora, zostaje szybko zagospodarowany przez upiornie wyglądającą postać. Długie przerzedzone włosy, bielutkie, pokutny habit w czerni, krzyż na łańcuchu zwisający niemal do pasa, ukryty między rzędami koralii. I dramatyczna opowieść mniszki bazylianki, zmuszanej torturami do zmiany wyznania. Zapowiada się ciężki spektakl – myśli widz i wzdycha. Bardzo umowna ta peruka – zdąży jeszcze pomyśleć, i w tym momencie peruka spada, obnażając czepek pod spodem. Aktorka/postać samą siebie dekonstruuje i demaskuje – nie bazylianka, tylko przechrzta, nie dręczona przez księży, tylko przez męża rosyjskiego oficera, do którego zbiegła z ubogiego, żydowskiego domu. I tak, powoli, wprowadza się nas w jedną z największych mistyfikacji, do jakich zdolna bywa kobieta, gdy ma nóż na gardle.

W czasach, gdy kobieta mogła być tylko utrzymanką (ślubną bądź nieślubną) albo mniszką, a pojęcie przemocy domowej nie istniało, świeżo upieczona wdowa po agresorze mogła albo bez końca tułać się po lasach, albo wziąć życie w swoje ręce. Z zasłyszanej na służbie historii torturowanych bazylianek czyni oręż zapewniający jej środki do życia, dzięki udawaniu jednej z nich, cudem ocalała. Wzbudzenie współczucia otwiera jej kolejne drzwi, gościnne pokoje, zapewnia uwagę możliwych i nielimitowany dostęp do ich stołów i spiżarni. Jeśli ufać przekazom, Mateczce uwierzył nie tylko Słowacki, który z jej opowieści stworzył poemat, ale i Mickiewicz, i Norwid i Wyspiański, a nawet dwóch papieży. Do dziś Makryna jest muzą twórców, skoro Jacek Dehnel poświęcił jej liczącą kilkaset stron książkę, drążącą fenomen tej historii. W spektaklu mamy prawie wszystko: specyfikę czasów, gdy religia dominowała w życiu społecznym, a pojęcie praw socjalnych i praw kobiet nie istniało, zawiedzione miłości, bogactwo i biedę, i całkiem sporo o tym, jak uwodzić widownię, skąd wiedzieć „do jakiej muzyki tańczyć i komu przytupywać”. Bardzo piękne przedstawienie i wielka klasa wybitnej aktorki, jaką trudno już dziś spotkać.

Ostatnim wydarzeniem drugiego weekendu Retroperspektyw był – uwaga – retrospektywiczny Koncert „10 lat neTTTheatre”. Obejmował wspomnienia Chorei, jej współpracowników i wszelkich

„odnóg” grupy, począwszy od czasów, gdy Chorea sprowadziła się do Łodzi i rozpoczęła działalność, w nie wyremontowanym jeszcze kompleksie fabrycznym. Nikt o Chorei nie słyszał i nikt o niej jeszcze nie pisał. Podczas kilkunastu lat pracy grupie przydarzyło się kilka trudnych doświadczeń, między innymi próba stworzenia ośrodka teatralnego w pokościelnym, a następnie „po-nierządnym” budynku w Srebrnej Górze. Przydarzyła się też tułaczka po gościnnych salach w Łodzi, gdy nikt jeszcze nie słyszał o Fabryce Sztuki, a potem o Art_Inkubatorze, a kto usłyszał, rzadko wierzył, że uda się ten projekt rewitalizacyjny zrealizować. A jednak się udało. Poziom nieco sentymentalnej podróży przez dawne spektakle, koncerty, akcje uliczne i społeczne, z wykonaniem muzyki i recytacji na żywo potwierdził, że wszystko to, co grupie udało się osiągnąć – stworzenie prężnie działającej instytucji kultury, festiwalu, zdobycie nagród, takich jak Punkt dla Łodzi, Złote Maski, Energia Kultury – były absolutnie zasłużone. Grupa nadal nie osiada na laurach, pracuje intensywnie i solidnie, także na poziomie organizacyjnym, na poziomie pracy biura festiwalowego i jego stosunku do widzów. Jedyne, czego można by sobie życzyć, to większej frekwencji na widowni, braku u niej lęku, że to teatr dziwny/inny/nie dla ludzi. Bo to jest teatr dla ludzi.

Paulina Ilska